

Mykoła Chwylowy

Ja

(Romantyczność)

przełożył Jerzy Litwiniuk

Kwiatowi jabłoni

Z dalekiej mgły, znad cichych jezior komuny za górami szmer szmerze: to idzie Maryja. Wychodzę na bezkresne pola, przekraczam przełęcz i tam, gdzie się jarzą kurhany, skłaniam się nad samotną bezludną skałą. W dal spoglądam. Wówczas myśl za myślą niczym amazonki harują dookoła mnie. Wszystko wówczas ginie... Mkną tajemniczy jeźdźcy kołysząc się rytmicznie poza krańce gór i dzień gaśnie; biegnie droga pośród kurhanów, a za nią step bezmowny... Odmykam powieki i wspominam... zaiste matka moja to ucieleśniony pierwowzór owej niezwyklej Maryi stojącej na skraju niewiadomych wieków. Moja matka, czyli naiwność, cichy smutek i dobroć bez granic. (To przypominam sobie dobrze!) I mój ból nie do wiary i moja nieznosna udręka tłą się w lampce fanatyzmu przed tym przedziwnym zasmuconym obrazem.

.

Matka powiada, że ja (jej syn zbuntowany) umęczyłem się do ostateczności... Wówczas biorę jej miłą głowę przyprószoną srebrzystą siwizną i łagodnie kładę na mojej piersi... Za oknem przechodziły rośne poranki i osypywały się perły. Mijały dni niemożliwe. W oddali z ciemnego

boru brnęli podróżni i przystawali wokół modrego źródła, tam, gdzie rozbiegają się drogi, gdzie stoi krzyż po rozbójnikach. To młodzi zagórzanie.

– Mijają wszakże noce, szemrzą pod topolami wieczory, topole odchodzą w niewiadomość szos, a za nimi lata, zimy i moja rozhukana młodość. Ówczesne dni przed burzą. Tam, poza krańcami szarostalowego boru, igrają błyskawice, a góry wrą i kipi w nich piana. Ciężki dudniący grzmot ani rusz się nie zerwie od Indii, od strony wschodu. I dręczy się w oczekiwaniu burzy natura. Aż raptem spoza kipieli chmur dobiega grzmot inny – ...głucha kanonada. Dwie nawałnice się toczą.

– Alarm! – Matka powiada, że podlewała dziś miętę i że mięta usycha z tęsknoty. Powiada, że burza nadciąga. I widzę, jak w jej oczach lśnią dwie perły uryjańskie.

I

Szturm za szturmem. Zaciekle atakują wraże pułki. Wówczas nasza kawaleria od skrzydła, falangi powstańców idą do przeciwnatarcia, a burza się wzmaga i moje myśli są niczym drut napięty do granic możliwości.

Dzień i noc trudzę się w „czeka”.

Siedziba nasza mieści się w fantastycznym pałacu: jest to posiadłość rozstrzelanego dziedzica. Groteskowe draperie, dawne wizerunki, portrety rodziny książęcej. Wszystko to patrzy na mnie ze wszystkich kątów mojego przygodnego gabinetu.

Gdzieś słuchawka telefonu polowego ciągnie swoją smętną, niepokojącą melodię, która przypomina dalekie dzwonki na dworcach.

Na zbytkowej sofie siedzi uzbrojony Tatar z podwiniętymi nogami i monotonnie wyśpiewuje swoje azjatyckie „ała-ła-ła”.

Wpatruję się w portrety: książę zasępił czoło, księżna to uosobienie wzgardy, książęta w pomroce stuletniej dąbrowy.

I w tej niezwyklej surowości odczytuję wszystkim świat stary, wszystkim bezsilny przepych i urodę trzeciej młodości, dostojnych lat, co przeminęły.

To wyrazistość macicy perłowej na uczcie dzikiego, głodującego kraju.

I ja, ktoś zgoła obcy, według jednej terminologii – bandyta, zgodnie z inną – powstaniec, po prostu i trzeźwo przyglądam się tym portretom i nie ma, i nie będzie w sercu mym gniewu. To jasne:

– Jestem czekistą, ale i człowiekiem.

Ciemną nocą, gdy za oknami dzieją się miejskie wieczory (gniazdo się wzniosło na górze i dominuje nad miastem), gdy modre opary snują się nad cegielnią i mieszcuchy jak myszy kulą się po bramach, w warowniach kanarków, ciemną nocą w moim ekstraordynaryjnym gabinecie zbierają się moi koledzy. To nowy sanhedryn, to czarny trybunał komuny.

Wówczas z każdego zakątka wyziera najprawdziwsza i rzeczywiste straszna śmierć.

Mieszczech:

– Tutaj urzęduje sadyzm!

Ja na to:

– ...(milczę).

Na wieży ratusza za przełęczą alarmująco podzwania spiż. To bije zegar. Od ciemnego stepu dobiega głucha kanonada.

Koledzy moi siedzą przy szerokim hebanowym stole. Cisza. Jedyne daleki dworcowy dzwonek aparatu telefonicznego znów ciągnie swoją smętną, niepokojącą melodię. Z rzadka za oknami przechodzą powstańcy.

Łatwo rozróżnić moich kolegów:

doktor Tagabat,

Andriusza,

trzeci – zwyrodnialec (wierny wartownik na posterunku).

Czarny trybunał w komplecie.

Mój głos:

– Uwaga! Na porządku dziennym sprawa kupca X!

Z odległych pokojów wychodzą lokaje i skłaniają się podobnie jak przed książętami, spoglądają wyraziście na nowy sanhedryn i stawiają na stole herbatę. Po czym znikają bezszelestnie na aksamicie kobierców w labiryntach wysokich komnat.

Mdło świeci kandelabr z dwiema świecami. Światło nie zdoła objąć nawet czwartej części gabinetu. W górze ledwie majaczy żyrandol. Ciemno jest w mieście. I tu też ciemno: wysadzono w powietrze elektrownię.

Doktor Tagabat rozparł się na szerokiej kanapie z dala od kandelabru i widzę jedynie białą łysinę i nazbyt wysokie czoło. Poza nim jeszcze dalej w ciemności – wierny wartownik o zwyrodniałej budowie czaszki. Widzę jedynie jego nieco błędne oczy, ale wiem:

zwyrodnialec ma niskie czółko, czarną kopię rozczochranych włosów i przypłaszczony nos. Zawsze sprawia na mnie wrażenie kajdaniarza i przypuszczam, że nieraz musiał figurować w kronice wypadków kryminalnych.

Andriusza siedzi na prawo ode mnie z roztargnioną twarzą i z rzadka z pewną obawą spogląda na doktora. Wiem, o co mu chodzi.

Andriuszę, mojego nieszczęsnego Andriuszę przydzielił ten nieznosny komitet rewolucyjny tutaj, do „czeka”, wbrew jego słabej woli. I Andriusza, ów niewesoły komunard, gdy trzeba się podpisać zamasyście pod mroczną uchwałą –

„rozstrzelać”,

zawsze się łamie, zawsze podpisuje się następująco:

na surowym dokumencie życia stawia

nie imię i nazwisko, ale zgoła niezrozumiały, zgoła fantastyczny, niemal hetycki hieroglif, zawijasek.

Mój głos:

– To wszystko. Doktorze Tagabat, jakie jest wasze zdanie?

Doktor (z mocą):

– Rozstrzelać!

Andriusza z pewnym przestachem patrzy na Tagabata i łamie się. Wreszcie drżąc i niepewnym głosem powiada:

– Nie zgadzam się z wami doktorze.

– Nie zgadzacie się ze mną? – i wybuch ochryplego śmiechu przetacza się przez ciemne pokoje książęce.

Czekałem na ten śmiech. Tak było zawsze. Ale tym razem wzdrygnąłem się i zdaje mi się, że zapadam się w zimne trzęsawisko. Prędkość mojego myślenia dobiega do kulminacji.

I w tym momencie wyrasta nagle przede mną postać mojej matki...

– ...„Rozstrzelać”???

I matka patrzy na mnie w smutnym milczeniu.

...Znów na dalekiej wieży ratusza za przełęczą dzwoni spiż: to bije zegar. Czarna północ. Do siedziby szlacheckiej ledwo dobiega głucha kanonada. Wiadomość przez telefon: nasi poszli do przeciwnatarcia. W oszklonych drzwiach za portierą jarzy się luna: to za odległymi wzgórzami płoną wsie, płoną stopy i wyją na pożar psy w kąciach bram miasta. W mieście cisza i bezgłośnie dzwonienie serc.

...Doktor Tagabat nacisnął guzik.

Lokaj przynosi na tacy stare wino. Po czym odchodzi i kroki jego cichną, oddalają się na skórach lamparcich.

Patrzę na kandelabr, ale mimo woli wzrok mój zakrada się tam, gdzie siedzi doktor Tagabat i wartownik. W ręku mają butelki z winem i piją je łąpczywie, drapieźnie.

Myślę, że tak trzeba.

Jednakże Andriusza chodzi nerwowo z miejsca na miejsce i wciąż ma coś na języku. Wiem, co myśli: chce powiedzieć, że to tak nieuczciwie, że tak nie postępują komunardzi, że to są bachanalia itede, itepe.

Jakiż to dziwak ten komunard Andriusza!

Ale gdy doktor Tagabat cisnął na aksamitny dywan pustą butelkę i wyraźnie napisał swoje nazwisko pod decyzją –

„rozstrzelać” –

gwałtownie ogarnęła mnie desperacja. Ten doktor z szerokim czołem i bia-

łą łysiną, z wyziębłym rozumem i kamieniem zamiast serca – toć to jest mój nieustępliwy pryncypał, mój instynkt zwierzęcy. I ja, głównodowodzący czarnego trybunału komuny, jestem w jego ręku nicością, zdaną na łaskę nieubłaganego żywiołu.

„Ale jakie może być wyjście?”

– Jakie wyjście?? – I wyjścia nie widziałem.

Przetacza się przede mną mroczna historia cywilizacji i wloką się narody, i wieki, i sam czas...

– Ale wyjścia nie było widać!

Zaiste rację miał doktor Tagabat.

...Andriusza pośpiesznie wywodził swój zawijas pod postanowieniem, a zwyrodnialec z lubością wpatrywał się w litery.

Pomyślałem: „o ile doktor jest złym geniuszem, moją złą wolą, to zwyrodnialec jest katem obsługującym gilotynę”.

Zastanowiłem się jednak:

– Ii, cóż za nonsens! Skądże znów kat? Przecież to dla niego, strażnika czarnego trybunału komuny w momentach wielkiego napięcia układałem hymn.

I wówczas odchodziła, oddalała się ode mnie moja matka – prawzór Maryi za górami, i zastygała oczekując w ciemnościach.

...Topniały świece. Surowe postacie księcia i księżnej gubiły się w niebieskawej oćmie dymu z papierosów.

...Na rozstrzelanie skazano

– sześciu!

Dosyć już! Dosyć na tę noc!

Tatar znowu zawodzi swoje azjatyckie „ała-ła-ła”.

Patrzę na portierę, na łunę w oszklonych drzwiach – Andriusza już się wymknął. Tagabat i wartownik piją stare wina. Przerzucam przez ramię mauzer i wychodzę z książęcego domu. Idę przez opustoszałe milczące ulice oblężonego miasta.

Miasto wymarło. Mieszkańcy wiedzą, że za trzy, cztery dni nas już nie będzie, że daremne są nasze przeciwnatarcia: rychło zaturkocą nasze taczanki

w stronę dalekiego kraju na północy. Miasto przyczało się. Ciemność.

Jako ciemny najeżony kontur tkwi na wschodzie siedziba księżca, obecnie – czarny trybunał komuny.

Obracam się i patrzę w tamtą stronę, i wtedy nagle przypominam sobie, że na sumieniu mam sześciu.

...Sześciu na moim sumieniu?
Nie, to nieprawda. Sześciuset,
Sześć tysięcy, sześć milionów –
Mrok na moim sumieniu!!

– Mrok?

Kulę głowę w ramiona.

...Ale znowu przede mną przetacza się mroczna historia cywilizacji i wloką się narody, i wieki, i sam czas...

Wówczas, w niemocy, chylę się przed sztachetami, klękam i gorąco błogosławię chwilę, w której się spotkałem z doktorem Tagabatem i wartownikiem o lambrosowskiej czaszce. Po czym obracam się i modlitewnie wpatruję w najeżony kontur na wschodzie.

...Gubię się wśród uliczek. Podchodzę wreszcie do samotnego domku, w którym mieszka moja matka. W ogródku pachnie mięta. Za szopą migają błyskawice i słyszeć przytłumiony grzechot pioruna.

Mrok!

Wchodzę do izby, zdejmuję mauzer i zapalam świeczkę.

... – Śpisz?

Ale matka nie spała.

Podchodzi do mnie, bierze moją zmęczoną twarz w swoje suche starcze dłonie i schyla głowę na moje piersi. Znów mówi, że ja, jej syn zbuntowany, umęczyłem się do ostateczności.

Czuję na swoich dłoniach jej perełki uryjańskie.

Mówię:

– Ach jak się zmęczyłem mamó!

Przybliżył mnie do świeczki i patrzy na moją zmorzoną twarz.

Później staje przy mdłej lampce i ze smutkiem spogląda na oblicze Maryi. – Wiem, że moja matka jutro też pójdzie do monasteru: nie do zniesienia są dla niej nasze alarmy i łupiestwa dokoła.

Ale w tymże momencie podchodząc do łóżka drgnąłem.

– Łupiestwa dokoła? Czyż mama może tak sądzić? Tak uważają tylko ci z Wersalu!

Wówczas to wstrząśnięty przekonuję siebie, że to nieprawda, że nie ma żadnej matki przede mną, że jest to jedynie przywidzenie.

– Przywidzenie? – znów się wzdrygnąłem.

Nie, w ł a ś n i e to jest nieprawdą! Tutaj, w zacisznej izbie, moja matka nie jest przywidzeniem, lecz częścią mojego własnego w y s t ę p - n e g o „ja”, któremu folguję. Tu, w głuchym zaułku na skraju miasta, kryję przed gilotyną jeden koniuszek mojego serca.

I wówczas w zwierzęcej ekstazie przymykam oczy, i jak samiec na wiosnę zachłystuję się i szepczę:

– Kto musi wiedzieć o szczegółach moich przeżyć? Jestem szczerym komunardem. Kto się ośmieli powiedzieć co innego? Czyż nie mam prawa do chwili odpoczynku?

Mdło świeci lampka przed ikoną Maryi. Przed lampką niczym posąg tkwi moja zasmęcona matka. Ale ja już nie myślę o niczym. Głowę mam tuli cichy sen gołębi.

II

...Nasi w odwrocie: z pozycji na pozycję: na froncie popłoch i popłoch na tyłach. Mój batalion w pogotowiu. Za dwa dni sam również rzucę się w zgiełk armatni. Mój batalion jest doborowy, wszystko młodzi fanatycy komuny.

Obecnie jednak tu jestem nie mniej potrzebny. Wiem, co to są tyły, gdy wróg jest pod murami miasta. Z każdym dniem szerzą się niejasne pogłoski i niczym żmije rozpełzły się po ulicach. Przenikają już do szeregów garnizonu.

Donoszą mi:

– Szemrzą poniektórzy.

– Może wybuchnąć bunt.

Tak! Tak! Wiem, że może wybuchnąć bunt, moi wierni agenci myszkują po zaułkach i nie ma już gdzie pomieścić tej winnej i prawie niewinnej zgrai mieszczuchów.

...A kanonada podchodzi coraz bliżej. Coraz częściej przybiegają gońcy z frontu. Kurzawa kłębi się i utrzymuje nad miastem przysłaniając zamglone ogniste słońce. Z rzadka migocą błyskawice. Ciągną się tabory, alarmująco krzyczą lokomotywy, cwałują kawalerzyści.

Jedynie wokół czarnego trybunału komuny trwa przygniatająca cisza.

Tak:

będą setki egzekucji i ja ostatecznie walę się z nóg!

Tak:

słyszają już wersalczy, jak w dźwięcznej i zamartej ciszy siedziby książęcej nad miastem rozlegają się wyraźne i krótkie strzały; wersalczy wiedzą:

– sztab Duchonina!

...A ranki kwitną perłowo i padają gwiazdy zaranne we mgle dalekiego boru.

...A głucha kanonada narasta.

Mnożą się zwiastuny: rychło będzie burza.

...Wchodzę do siedziby książęcej.

Doktor Tagabat i wartownik piją wino. Andriusza sposepniały siedzi w kąciu. Po czym podchodzi do mnie i mówi z naiwnym smętkiem:

– Słuchaj, przyjacielu! Zwolnij mnie!

Mówię:

– Dokąd?

On na to:

– Na front. Dłużej już tu nie mogę.

Aha! Nie może dłużej! Raptem ogarnęła mnie złość. Nareszcie mnie wzięło. Długo się hamowałem. – Chce na front? Jak najdalej od czarnej, brudnej roboty? Wytrzeć ręce i być niewinny jak gołąbek? Mnie oddaje „swoje prawo” do kąpania się w kałużach krwi?

Krzyczę więc:

– Zapominacie się! Słyszycie?... Jak jeszcze raz powiecie o tym, rozstrzelam was natychmiast.

No to doktor Tagabat z mocą:

– Tak mu! tak mu! – i potoczył się śmiech po pustych labiryntach komnat książęcych. – Tak mu! Dobrze mu tak!

Andriusza skulił się, zbladł i wyszedł z gabinetu.

Doktor powiedział:

– Dosyć! Odsapka! A ty jeszcze popracuj!

Mówię:

– Kto tam z kolei?

– Sprawa nr 282.

Powiadam:

– Wprowadzić.

Wartownik w milczeniu, niczym automat, opuścił komnatę.

(Tak, to był niezastąpiony wartownik: nie tylko Andriusza, ale i my popełnialiśmy uchybienia: ja i doktor. Często uchylaliśmy się od nadzorowania egzekucji. Ów zwyrodnialec jednakże zawsze był żołnierzem rewolucji i schodził z pola dopiero, gdy rozproszyły się dymki i zakopywano rozstrzelanych.)

...Portiera się rozsunęła i do mojego gabinetu weszło dwoje: kobieta w żałobie i mężczyzna w pince-nez. Byli ostatecznie wystraszeni widokiem wnętrza: arystokratyczny zbytek, portrety księżęce i rozgardiasz – puste butelki, rewolwery i niebieskawy dym papierosów.

Pytam:

– Nazwisko?

– Zet!

– Nazwisko?

– Igrek!

Mężczyzna ściągnął blade wargi i wpadł w niemiłosiernie płaczliwy ton: błagał o zmiłowanie. Kobieta ocierała oczy chustką.

Pytam:

– Skąd was zabrano?

– Tam a tam!

– Za co was zabrano?

– To i to!

Aha, zatem mieliście zebranie! Jakie mogą być zebrania w takiej niespokojnej porze nocą w prywatnym mieszkaniu?

Aha, zajmujecie się teozofią! Szukacie prawdy!... Nowej? Tak! Tak!... I któż to jest?... Chrystus?... Nie?... Inny zbawiciel świata?... Tak! Tak! Was nie zaspokaja ani Konfucjusz, ani Lao-Tse, ani Budda, ani Mahomet, ani sam czart!... Aha, rozumiem: trzeba zapełnić puste miejsce...

Pytam:

– Więc waszym zdaniem dojrzał czas na przyjście nowego mesjasza?

Mężczyzna i kobieta:

– Tak!

Pytam:

– Czy sądzicie, że ten kryzys psychologiczny daje się zaobserwować i w Europie, i w Azji, i we wszystkich częściach świata?

Mężczyzna i kobieta:

– Tak!

– To po kiego licha, mamę waszą tak i owak, nie zrobicie tego me-sjasza z „czeka”?

Kobieta się rozpląkała. Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej. Surowe portrety księcia i księżnej posępnie spoglądały ze ścian. Dobiegała kano-nada i alarmujące gwizdki z dworca. Nieprzyjacielski pociąg pancerny naciera na nasze stacje – wiadomość przez telefon. Z miasta dolatuje ło-skot: zagrzechotały po bruku taczanki.

...Mężczyzna padł na kolana i jął błagać o zmiłowanie. Pchnąłem go nogą z rozmachem i rozłożył się na wznak.

Kobieta przytuliła żalobę do skroni i w rozpaczę pochyliła się nad stołem.

Rzekła głuchym i martwym głosem:

– Słuchajcie, jestem matką trojga dzieci!...

Ja na to:

– Rozstrzelać!

W mig poderwał się dyżurny i po pół minucie w gabinecie nie by-ło już nikogo.

Podszedłem wówczas do stołu, nalałem wina z karafki i wypilem duszkiem. Przytknąłem dłoń do zimnego czoła i rzekłem:

– Ciąg dalszy!

Wszedł zwyrodnialec. Radził mi odłożyć sprawy i zająć się jedną poza kolejnością:

– Dopiero co przyprowadzono z miasta nową grupę wersalczyków, zdaje się, że wszystko to są mniszki, które na rynku prowadziły jawną agitację przeciw komunie.

Wchodziłem w rolę. Mgła falowała mi przed oczyma i byłem w sta-nie, który można zakwalifikować jako szczyt ekstazy.

Przypuszczam, że w takim stanie fanatycy szli na świętą wojnę.

Podszedłem do okna i rzekłem:

– Wprowadzić!

...Do gabinetu wtłoczyła się cała gromada mniszek. Nic nie widzia-łem, ale wyczuwałem to. Patrzyłem na miasto. Zmierzchało. – Długo się

nie odwracałem delektując się: za dwie godziny nie będzie żadnej z nich! – Zmierzchało. – I znów przedburzowe błyski cięły krajobraz. Na dalekim horyzoncie za cegielnią unosiły się dymki. – Wersalczyacy napierają ostro i zaciekle – donosił telefon? Na opustoszałych traktach z rzadka wyrastają taborzy i pośpiesznie wycofują się na północ. Na stepie niczym bylinowi bohaterowie trwają na czatach zagony kawaleryjskie.

Alarm.

Sklepy w mieście pozabijano deskami. Miasto wymarło i uchodzi w dziką dal średniowiecza. Na niebie wyrastają gwiazdy i sączą na ziemię zieloną bagienną poświatę. Po czym gasną, znikają bez śladu.

Ale ja muszę się śpieszyć! Za moimi plecami stoi gromada mniszek! Tak, muszę się śpieszyć: piwnice zatłoczone są do ostatka.

Odwracam się stanowczo i chcę wypowiedzieć bezapelacyjne:

– Roz-strze-lać!...

ale odwróciłem się i widzę – wprost przede mną stoi moja matka, moja zasmęcona matka z oczyma Maryi.

W popłochu odrzuciło mnie w bok: cóż to jest – halucynacja? W popłochu odrzuciło mnie w bok i zawołałem:

– To ty?

I słyszę w ciżbie kobiet zasmęczone:

– Synu! mój buntowniczy synu!

Czuje, że lada chwila upadnę. Zemdlilo mnie, oparłem się ręką o fotel i skuliłem się.

Ale w tej samej chwili rozległ się śmiech grzechocący, obił się o strop i ucichł. To doktor Tagabat:

– „Mamo”?! Ach ty diabelski pajacu! Cycusia się zachciało? „Mamo”?

W mig oprzytomniałem i pochwyciłem mauzer.

– Ty czorcie! – i rzuciłem się na doktora.

Ale ten zimno popatrzał na mnie i rzekł:

– No, no, ciszej zdrajco komuny! Bądź łaskaw rozprawić się również z „mamą” (zaakcentował „z mamą”), jak potrafiłeś rozprawiać się z innymi.

I odszedł w milczeniu.

...Oślupiałem. Błady, nieomal martwy, stałem przed milczącym naporem mniszek z rozbieganymi oczyma niczym zaszczuty wilk. (Widziałem to w gigantycznym zwierciadle wiszącym naprzeciw.)

Tak! – ucapiono nareszcie drugi koniuszek mojej duszy. Już nie pójdę na obrzeże miasta kryć się niczym zbrodniarz. Teraz obowiązuje mnie jedno tylko prawo:

– Nikomu, nigdy i nic nie mówić, jak pękło moje własne „ja”.

I nie straciłem głowy.

Myśli przeszywały mi mózg. Cóż mam robić? Czyż ja, żołnierz rewolucji, uchybię w tej chwili własnej odpowiedzialności? Czyż porzucę placówkę i haniebnie zdradzę komunę?

...Zacisnąłem szczęki, spojrzałem pochmurnie na matkę i rzekłem szorstko:

– Wszystkich do piwnicy. Zaraz tam będę.

Ale nie zdążyłem tego wypowiedzieć, jak znów gabinet zatrzęsł się od śmiechu.

Wówczas obróciłem się w kierunku doktora i oznajmiłem dobitnie:

– Doktorze Tagabat! Zapomnieliście widać, z kim macie do czynienia? Czy i wam się nie śpieszy do sztabu Duchonina... z tą zbieraniną! – machnąłem ręką w stronę, w której stała moja matka, i milcząc wyszedłem z gabinetu.

...Nic nie usłyszałem za sobą.

...Wyszedłem z pałacu jak pijany, donikąd, w cieniach przedburzowego dusznego wieczoru. Narastała kanonada. Znów wybuchały dymki nad daleką cegielnią. Za kurhanem grze-

chotały pociągi pancerne: to między nimi się toczył rozstrzygający pojedynek. Pułki wroga zaciekle napierały na powstańców. Czuć było dym egzekucji.

Szedłem donikąd. Obok mnie przejeżdżały tabory, cwałowali artylerzyści, grzechotały po bruku taczanki. Miasto zastygło w kurzu i wieczór nie ujął nagromadzonego przed burzą ładunku.

Szedłem donikąd. Bez jednej myśli, w otępiełej pustce, z ciężkim brzemieniem na przygarbionych plecach. Szedłem donikąd.

III

...Tak, to były minuty udręki nie do zniesienia. – Ale wiedziałem już jak postąpię.

Wiedziałem jeszcze wtedy, gdy opuszczałem pałac. Inaczej nie wyszedłbym tak prędko z gabinetu.

...Ano tak, muszę być konsekwentny!

...Przez całą noc rozpatrywałem sprawę.

Wówczas w ciągu kilku godzin ciemności regularnie rozlegały się krótkie i dobitne strzały:

– ja, głównodowodzący czarnego trybunału komuny, wykonywałem swoje obowiązki wobec rewolucji.

...I czyż to moja wina, że obraz mojej matki nie opuszczał mnie ani na chwilę owej nocy?

Czyż to moja wina?

...W południe przyszedł Andriusza i rzucił posępnie:

– Słuchaj! Pozwól ją wypuścić!

Ja na to:

– Kogo?

– Twoją matkę!

Ja na to:

(milczę).

Później czuję, że chce mi się śmiać aż do bólu. Nie wytrzymałem i rechocę na cały pałac.

Andriusza patrzy na mnie surowo. Absolutnie poznać go nie mogę.

– Słuchaj. Po co ten melodramat?

Mój naiwny Andriusza tym razem chce być przenikliwy. Ale się pomylił.

Ja na to (brutalnie):

– Spływaj!

Ach, ten naiwny komunard do końca nic nie rozumie. Nic nie wie literalnie, po co to bezsensowne, zwierzęce okrucieństwo. Nic nie widzi za moją zimną, drewnianą otoczką.

Mówię:

– Telefonuj! Dowiedz się, gdzie jest wróg!

Andriusza:

– Słuchaj!...

A ja:

– Telefonuj! Dowiedz się, gdzie jest wróg!

W tejże chwili nad posiadłością przeleciał sycząc pocisk i wybuchł nie opodal. Zabrzęczały szyby i echo poszło po rezonujących pustych pokojach książęcych.

W słuchawce wiadomość: wersalczycy napierają, są już blisko: o trzy wiorsty. Patrole kozackie pokazały się pod stacją: powstańcy w odwrocie. – Lamentuje daleki dzwonek na stacji.

...Andriusza wybiegł. Ja za nim.

...Dymiło w oddali. Znów wybuchały obłoczki na horyzoncie. Kłębił się kurz nad miastem. Słońce jak ze spżu, a nieba nie widać. Jenó

mętna kurzawa pędziła górą nad dalekim nieboskłonem. Unosiły się z drogi fantastyczne ogrody, wybiegały wzwyż, przecinały nieboskłon, wznosiły ponad zabudowania i znów biegiły i biegiły. Czoło burzy trwało w bezruchu jak zaczarowane.

...A tu gruchały armaty. Mknęli kawalerzyści. Wycofywały się na północ taczanki i treny.

Zapomniałem o wszystkim. Nic nie słyszałem i – sam nie pamiętam, jak trafiłem do piwnicy.

Z dzwonieniem rozerwał się szrapnel koło mnie i na dworze zrobiło się pusto. Podeszedłem do drzwi i tylko, że chciałem zajrzeć przez niewielkie okienko, za którym siedziała moja matka, gdy ktoś wziął mnie za rękę. Obróciłem się –

– zwyrodnialec.

– A to ci warta! Wszyscy puciekali!... hi... hi...

Ja:

– A wy?

On:

– Ja? Ja to ja! – i postukał palcem po drzwiach.

Tak, to był wierny pies rewolucji. Będzie stać na straży, i to nie tylko pod takim ogniem! Pamiętam, że pomyślałem wówczas:

– „to jest stróż mojej duszy” i bez myśli pobrnąłem na pustkowia pod miastem.

...A pod wieczór południowe obrzeża miasta zostały zdobyte. Musieliśmy iść na północ, opuścić miasto. Jednakże powstańcy otrzymali rozkaz pozostania aż do nocy i mężnie umierali na wałach, na przyczółkach i w niemych zakamarkach pod bramami.

...Ale co ze mną?

...Odbywała się śpieszna ewakuacja, słychać było wyraźną wymianę strzałów,

i już nie mogłem ustać na nogach!

Palono dokumenty. Odsyłano partie zakładników. Brano resztę kontrabucji...

...Nie mogłem ustać na nogach!

...Lecz nagle wyłoniła się twarz mojej matki i znów słyszałem zasmęcony i uparty głos.

Odrzucam włosy z czoła i rozszerzonymi oczyma patrzę na wieżę ratusza. I znów nastawał wieczór, i znów na południu płonęły zabudowania.

...Czarny trybunał komuny zbiera się do ucieczki. Ładują podwozy, wloką się tabory, śpieszą tłumy na północ. Jedynie nasz samotny pociąg pancerny zastęga w głębi boru i powstrzymuje na prawym skrzydle pułki nieprzyjaciela.

...Andriusza gdzieś się ulotnił. Doktor Tagabat siedzi spokojnie na kanapie i pije wino. W milczeniu śledzi moje rozkazy i z rzadka ironicznie spogląda na portret księcia. Ale spojrzenie to czuję właśnie na sobie, co denerwuje mnie i niepokoi.

...Słońce zaszło. Wieczór dogorywa. Nadchodzi noc. Na wałach toczą się utarczki i jednostajnie terkoce karabin maszynowy. Opustoszałe komnaty książęce zamarły w oczekiwaniu.

Wpatruję się w doktora i drażni mnie jego spojrzenie na starodawny portret.

Mówię ostro:

– Doktorze Tagabat! za godzinę muszę zlikwidować ostatnią partię skazanych. Muszę przyjąć dowodzenie oddziałem.

On na to ironicznie i obojętnie:

– No i cóż? Dobrze!

Podniecam się, ale doktor patrzy na mnie szyderczo i uśmiecha się.
– Niechybnie rozumie o co chodzi! Przecież w tej partii skazańców jest moja matka.

Ja:

– Proszę bardzo opuścić ten pokój!

Doktor:

– No i cóż? Dobrze!

Wówczas nie wytrzymuję i wybucham:

– Doktorze Tagabat! Uprzedzam po raz ostatni: nie żartujcie ze mną!

Ale głos mój się łamie i bulgoce mi w gardle. Zrywam się, by złapać za mauzer i z punktu skończyć z doktorem, lecz nagle czuję się nędzny, nikczemny i stwierdzam, że opuszczają mnie resztki woli. Siadam na kanapie i żałośnie jak zbity bezsilny pies patrzę na Tagabata.

...Ale uciekają minuty. Musimy wyruszać.

Znów biorę się w garść i po raz ostatni patrzę na wyniosłą podobiznę księżnej.

Mrok.

... – Konwój!

Wartownik wszedł i zameldował:

– Partię wyprowadzono. Egzekucja zostanie dokonana za miastem: na skraju lasu.

...Spoza dalekich zboczy wyłaniał się księżyc. Później płynął po przez łagodne strumienie błękitu, odrzucając seledynowe bryzgi. O północy utkwiał w zenicie i zatrzymał się nad otchłanią.

...W mieście trwała intensywna wymiana strażaków.

...Szliśmy drogą na północ.

Nigdy nie zapomnę tej milczącej procesji – ciemniejszego tłumu idących na rozstrzelanie.

Z tyłu turkotały taczanki.

W straży przedniej – konwój komunardów, dalej – tłum mniszek; z tyłu – ja, jeszcze konwój komunardów i doktor Tagabat.

...Trafiliśmy jednak na autentycznych wersalczyków: w ciągu całej drogi ani jedna mniszka nie rzekła ani słowa. To były szczere fanatyczki.

Szedłem drogą – jak wówczas – donikąd, a obok mnie snuli się stróże mojej duszy: doktor i zwyrodnialec. Wpatrywałem się w tłum, ale tam nic nie dostrzegłem.

Wiedziałem jednak

– że idzie tam moja matka

z pochyloną głową. Czułem, jak pachnie miętą. Głaskałem jej miłą głowę z nalotem srebrzystej siwizny.

Ale naraz wyrosła przede mną dal za górami. Wówczas znów boleśnie chciało mi się paść na kolana i modlitewnie spoglądać na zjeżony kontur czarnego trybunału komuny.

...Skuliłem głowę i szedłem obumarłą drogą, a za mną turkotały taczanki.

Raptem oprzytomniałem: co to? halucynacja? Czyżby to był głos mojej matki?

I znów rozpoznaję się jako człowiek nikczemny i stwierdzam, że mdło mi gdzieś pod sercem. I chciałoby mi się nie szlochać, ale płakać rzęsiastymi łzami – tak jak w dzieciństwie, na jej ciepłej piersi.

I oświeciło mnie:

– czyż to ja prowadzę ją na rozstrzelanie?

Czy to rzeczywistość, czy halucynacja?

Jednakże była to rzeczywistość: bezsporna życiowa rzeczywistość – okrutna i drapieżna jak zgraja głodnych wilków. Była to rzeczywistość bezwyjściowa, nieunikniona jak sama śmierć.

...Ale może to pomyłka?

Może trzeba postąpić inaczej?

Ach, przecie to bojaźliwość, lekkoduchostwo. Istnieje wszak pewna maksyma życiowa: *errare humanum est*. No i co z tobą? Błądź! i błądź właśnie tak, a nie owak!... I jakież mogą być tutaj błędy?

Zaiste: była to rzeczywistość jak zgraja głodnych wilków. Ale zarazem jedyna droga do jezior nieznanej przepięknej komuny za górami.

...Wówczas spalałem się w ogniu fanatyzmu i twardo wybijałem kroki drogą na północ.

...Milczący orszak dochodził do lasu. Nie pamiętam, jak zostawiano mniszki, ale pamiętam:

podszedł do mnie doktor i położył mi rękę na ramieniu:

– Wasza matka jest tam! Róbcie, co chcecie!

Popatrzałem:

– od tłumy oddzieliła się postać i cicho, samotnie wyszła na skraj lasu.

...Księżyc stał w zenicie i wisiał nad otchłanią. Dalej w seledynowozieloną niewiadomość odchodziła obumarała droga. Na prawo majaczyły czaty mojego batalionu. I w tym momencie nad miastem zakwitł rzęsisty ogień – strzelanina znów biła na alarm. To cofali się powstańcy, to wróg dawał znać o sobie. Gdzieś z boku rozerwał się pocisk.

...Wyciągnąłem mauzer z futerału i śpiesznie podszedłem do samotnej postaci. Wówczas to przypominam sobie jak zamigały krótkie ogniki: tak rozprawiano się z mniszkami.

I wówczas to pamiętam –

z lasu uderzył na trwogę nasz pociąg pancerny. – Zadudnił las.

Buchnął płomień – raz,

dwa –

i jeszcze – salwa! salwa!

...Nacierają pułki wroga. Trzeba się śpieszyć. Ach, trzeba się śpieszyć!

Idę i idę, jednak samotna postać mojej matki jest wciąż w tym samym miejscu. Stoi ze złożonymi rękoma i patrzy na mnie ze smętkiem. Pośpieszam na ten zaczarowany, nieosiągalny skraj lasu, ale samotna postać wciąż jest tam, wciąż w tym samym miejscu.

Pusto dookoła. Jedyne księżyc sący zieloną poświatę z przebitego zenitu. Trzymam mauzer w ręku, ale ręka moja słabnie i lada chwila zapłaczę rzęsistymi łzami niczym w dzieciństwie na ciepłej piersi. I zbieram się do krzyku:

– Matko! Mówię ci: chodź do mnie! Muszę cię zabić!

I mózg mój przeszywa niewesoły głos. Znow słyszę, jak matka powiada, że ja (jej buntowniczy syn) umęczyłem się do ostateczności.

...Co to? czyżby znow halucynacja?

Odrzucam głowę do tyłu.

Tak, była to halucynacja: dawno już stałem na pustym skraju lasu naprzeciw mojej matki i patrzałem na nią:

Milczała.

...W lesie zaryczał pociąg pancerny.

Buchały płomienie. Szła nawałnica. Wróg ruszył do szturm. Powstańcy odstępują.

...Wówczas w omdleniu, ogarnięty pożarem jakiejś radości nie do zniesienia, zarzuciłem rękę na szyję mojej matce i przycisnąłem jej głowę do swoich piersi.

Opadła na mnie jak kłos podcięty.

Ułożyłem ją na ziemi i rozejrzałem się błędnie. – Pusto było dookoła. Jedynie po bokach ciemniały ciepłe zwłoki mniszek. – Opodał grzechotały działa.

...Włożyłem rękę do kieszeni i w tejże chwili doszło do mnie, że czegoś zapomniałem w książących pokojach.

„Co za cymbał ze mnie!” – pomyślałem.

...Po czym oprzytomniałem:

– Gdzież są ludzie?

Ależ tak, muszę śpiesznie iść do mego batalionu! – i rzuciłem się w stronę drogi.

Ale nie uszedłem nawet trzech kroków, jak coś mnie zatrzymało.

Drgnąłem i pobiegłem do trupa matki. Uklękłem przed nim i bacznie wpatrzyłem się w jej twarz. Ale była nieżywa. Jak pamiętam, krew ciekła ciemną strużką po policzku.

Wówczas uniosłem tę beznadziejną głowę i pożądliwie wpiłem się w białe czoło ustami. – Ciemność.

I nagle słyszę:

– No, komunardzie, wstawaj!

Czas do batalionu!

Rzuciłem okiem i widzę:

– przede mną znowu stoi zwyrodnialec.

Aha, zaraz będę. Zaraz. Tak, dawno już na mnie czas! – poprawiłem ramię swojego mauzera i znów rzuciłem się w stronę drogi.

...W stepie jak bylinowi bohaterowie stali konni powstańcy. Biegłem tam kuląc głowę.

...Szła nawałnica. Gdzieś przebijały się pasemka brzasku. Cicho umierał księżyc w przebitym zenicie. Z zachodu nasuwały się chmury. Szła dobitna, rześista strzelanina.

...Zatrzymałem się wśród nieżywego stepu:

– tam, w niewiadomej dali niewidocznie pały ciche jeziora komuny za górami.